ROZMAITOŚCI.

Dnia 7 lutego, Ner 6. roku 1846.

PRZEKLEŃSTWO.

OBRAZ ROMANTYCZNY Z 17stego WIEKU.

I.

. . . . rozkaz nie ofiara,
Może dziecku rozkazać Ojca głowa stara,
Gwałcić moje rozkazy niech się nikt nie kusi,
Ostatni to mój wyrok — tak chcę, tak być musi.
M. Jezierski.

U brzegu Dniestru stał zamek starosty. Nad staremi mchem porosłemi murami panowała wiekiem nachylona wieża, przytułek kawek i puhaczów; obdartym swym szczytem zdawała się najgrawać konarzystym lip wierzchołkom, które jak młode wnuki dziadka, zielonemi ją obejmowały ramiony. Od południowej strony okna gotyckiego kształtu przezierały się wspaniale w kryształowem Dniestru łonie, a od północy błyszczący pozłotą znak zbawiciela świadczył o świętym stwórcy przybytku i o pobożności starego mieszkańca.

W istocie starosta był to wzór poczciwości, człowiek nieskalanego żywota, i choć niejedno przebrnął nieszczęście, niejednę poniósł klęskę ciernistego życia, przecież zmocniony ufnością w Boga, zawsze czystą z nich wynosił duszę, a po wielu latach trudów zbliżająca się siwizna, znalazła sumienie czyste — bez wyrzutów. Zużywszy mezkie siły na posługach ojczyzny, ukrył się przed światem w cichym kącie rodzinnym i resztki swego życia jak dogorywająca lampa pędził swobodnie, głuchy na zaburzenia ojczyzny; sam jeden tylko z świetnem wspomnieniem przeszłości i z jedyną córką Maryją.

A Maryja — to anioł w cielesnej powłoce,— to kwiatek z niebios ogrodu przesadzony na tę ziemię wygnania, aby promieniejącem niewinnością licem przypominać ludziom ich pochodzenie boskie, i jak pochodnia w nocy rozświecać im chmurny widokrąg w świętej pielgrzymce do miłości i poświęcenia.

Piękna — jak ziemia w wiosennym odkwicie,
Swobodna — jak wdzięczna słowika piosenka,
A tkliwa — jak matki pieszczoty z dziecięciem!

Pogodne było niebo; majowe słońce rozesłało rubinowe promienie po widokręgu, i wkradając się niemi w perłową łąk rosę, śniło tęczowemi blaski, a kwiecistą ziemi sukienkę zmieniało w promienny kobierzec. Dobroczynnem oblane światłem drżące kwiatów i drzewek listeczki, młodziutkie lica ku słońcu zwracały, tu i owdzie świegotny ptaszek zaszczebiotał nad gniazdem, a kiedy niekiedy stary nurt Dniestru dźwigając w swem łonie odłam skalistego wybrzeża, zastękał ponuro jak starzec ugięty pod naciskiem brzemienia.

W jednej z zamkowych komnat, wybitej czerwonym adamaszkiem, siedział starosta w poręczowem krześle. Siwą głowę zanurzył w pooranych wiekiem dłoniach, a dusza zdawała się albo gonić gdzieś za przeminioną wiosną, albo też wpatrywać się w owe mgliste światełko, z którego tajemnicza przyszłość zawsze niestety dwuznaczne wysyła promienie. Czasami podnosił głowę, i choć już przejrzałą, przecież jeszcze resztkami zapału błyszczącą źrenicą wodził po ogorzałych twarzach antenatów, którzy niby wojownicy po odniesionem zwycięztwie z pogodnem wejrzeniem zasiedli koło ogniska wypoczynku, i jak pomniki swoich wieków, rozłożyli jeden wielki obóz przeszłości. Wtedyto czoło starosty wypogadzało się na chwilę; — z pośród rozsuwających się zmarszczków niejedna zaświeciła blizna, a oko przemawiało życiem pełnem wrażeń i przygód.

Obok niego siedziała dziewica, a z ust jej jakby rzewliwych uczuć strumienie z całym urokiem dziewiczego głosu, płynęły żale Zygmuntowskiego wieszcza — Treny Kochanowskiego.

Właśnie następował ustęp dziewiąty — Maryja zaczęła:

Żaden ojciec podobno bardziej niemiłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował,
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło
Co by łaski rodziców swych tak godne było:
Ochędożne . . . .

— Przestań już, moje dziecię, przemówił starosta. Każde słowo rodzi mi w sercu jakąś obawę, i smutkiem myśli mi zasuwa. O! bo i ja ciebie tak kocham, jak on kochał swoje dziecię, i ty dla mnie jesteś wszystkiem, jak dla niego była wszystkiem Orszulka. Dla tego drżę na samo wspomnienie tak bolesnej przygody.

I wyciągnął stare dłonie, ogarnął niemi kochane dziecię, pocałował w czoło.

— Próżna obawa, kochany ojcze, — nie dręcz się daremnie posępną myślą; twoja córka zdrowa — a w Bogu nadzieja!

— Tak prawda! to próżna obawa. I starzec się zadumał. — A przecież, przemówił po chwili, ja się z tobą muszę rozłączyć!...

— Jakto drogi ojcze? ja cię nigdy nie odstąpię!

— Posłuchaj mię Maryjo: Godziny moje policzone, a życie jak łódka już się zbliża do brzegu. Niechcę cię zostawić bez opieki, — bez pomocy — bez przewodnika. Tak, moję dziecię, chcę ci dać już innego. Krok mój już za słaby, w połowie drogi mógłby cię osierocić — lecz ten przewodnik, którego ci teraz wyznaczę, będzie ci towarzyszył aż do śmierci.

— Ojcze! przerwała zmieszana dziewica, ja nie pojmuję słów twoich!...

— Wyjaśnię ci ich znaczenie. Kasztelaniec Alfred, młodzieniec znakomitego rodu, rządny i zamożny, dawno już błagał o twoję rękę. Przyobiecałem mu ją, bo poznałem, że cię kocha nad życie Przecież aż dotąd wstrzymywałem się ze stanowczą chwilą, bo myśl rozłączenia się z tobą stała mi zawsze w drodze, jak postrach dla wstrzymania od swawoli łatwowierne dziecię. — Teraz daremne wahanie — kochana Maryjo! musim się rozłączyć.

A w piersiach Maryi dziwne powstały uczucia. Tak doraźne postanowienie ojca, pomieszało szyki jéj tęczowych marzeń i jakby ostrzem żelaza przedarło siecie jéj nadziei. Wola ojca święta dla niéj — uległość dziecięcą razem z mlekiem wyssała z piersi matczynéj — a przecież tak ją przerażają słowa ojca?!... Czy z kwiatów swego serca dla innego już uplotła wieniec miłości? Czy obrażona duma, że ręką i sercem jéj jak narzędziem ojciec rozrządza, podburzyła jéj myśli i pomieszaniem zamgliła źrenicę?... Trudno wyczytać; bo z każdém uderzeniem pulsu zmienia się wyraz oblicza; — widać, że w wnętrzu silna się uczuć odbywa walka, lecz przyczyny téj walki nie widać.

Dobra minęła chwila, nim u drzących ust dziewczyny z udaną spokojnością wydobyły się słowa, jak po błyskawicy, po chwili dopiéro dolatują uszu dalekie gromów odgłosy.

— Drogi ojcze! nie mów mi o Alfredzie, ja go nie kocham, ja nigdy go kochać nie zdołam.— Ojcze mój, pomnij na twoją miłość ku mnie, nie unieszczęśliwiaj swojego dziécięcia!...

— Jakto! rzekł nieco zmieszany starosta, Maryja chce się sprzeciwiać woli ojca?...

— Nie — kochany ojcze! mówiła dziewica całując jego rękę, — nie chcę się sprzeciwiać, szanuję ją, jak wolę Boga — ale ty ją sam odwołasz ojcże, ty sam ją odmienisz, bo kochasz Maryję. O! wierzaj mi ojcze, rzekła nieco z dumą, wolę być żoną żebraka, niżli chciwego samoluba, — ja nie chcę takiego męża!....

Na te słowa czoło starosty podwójnym zasunęło się zmarszczkiem, a w oku zajaśniał blask zmieszany — miłości ojcowskiéj i gniewu. Ostatni przemógł. Słowa dziécięcia zdawały mu się naruszać odwieczne prawa ojcowskiéj powagi i dumy, których się przodkowie nasi trzymali jak artykułu wiary, a z których niestety tyle smutnych wypłynęło skutków.

— Ja tak chcę — tak być musi! rzekł surowo. On cię kocha, to dosyć, ty go także z czasem pokochasz.

— Ależ ojcze! chciała mówić Maryja.—

— Próżne słowa! przerwał jéj mowę starosta.

Zamilkła dziewica, — strumień łez spłynął jéj z oczu, jak gdyby cząstka cierpień ściekła z przepełnionego kielicha duszy. Ona ich nie ocierała, lecz zrosiwszy niemi rękę ojca, pocałowała ją raz jeszcze, i odeszła.

A starzec gniewném za nią spojrzał okiem. Lecz wnet znowu miłość zakołatała do serca, zaczął żałować, że wycisnął łzy z oczu dziécięcia,— chciał ją nazad przywołać, pocieszyć ją rodzicielskim pocałunkiem, — ale na próżno! obrażona duma ojcowska głos w uściech przytłumiła.

Tak to dziwni byli nasi ojcowie,— kochali dzieci, lecz najczęściéj tę miłość poświęcali dumie ojcowskiéj!...

II.

Łódko moja, łódko! suwaj po głębinie!
E. Wasilewski.

Cisza zaległa ziemię. Stary zegar zamkowy już odliczył godzinę duchów — a Maryja czemuż jeszcze błądzi bezsenna po zamkowych krużgankach? — czemuż błądzi z zasępioną źrenicą, jak ptaszę, gdy je odleci towarzyszka zycia?.... Czasami wstrzyma się nagle, — wyszle jakby na zwiady promień oka po Dniestru głębinie, — i znowu chodzi, i znowu duma, — a dla czego? — bo Maryja kocha! — kocha pierwszym ogniem młodéj duszy, miłością świętą i niewinną, — kocha — syna kołodzieja!..

Miłość ta w dzieciństwie jeszcze wszczepiła się w młode serce; — teraz już w piękne wybujała latorośle, i szkarłatnym zakwitła kwiatem wśród ciszy domowéj.

Gwiazdki migają po niebios lazurze, a Maryja duma i duma. Czy może ją dręczy ta miłość tatajemna?... Nie, — ona jéj nie dręczy. Maryja wie o tém, że niewinna miłość nie jest zbrodnią, wie, że jéj miłość, choć ukryta przed rodzicem, przecież w obliczu tego wyrosła, co zgłębia wszystkie tajniki serca ludzkiego, — a taka miłość, co się myślą o Bogu pociesza, czyliż jest zbrodnią?....

A przecież Maryja nie wolna od cierpień. Nieraz

oskarza się sama przed sobą, że zawiniła przeciw powinnościom dziecięcia, bo kocha ojca nad wszystko, — nieraz chciałaby się rzucić do nóg jego, odkryć mu wszystko, lecz daremnie, zawsze ją bojaźń jakaś odtrąca. Ojciec upatrujący najpierwsze szczęście w szlachetności i znakomitości rodu swego, czyliżby wpuścił syna kołodzieja do swojej rodziny?.... Próżne myśli!.... dzisiejszy poranek zniszczył już wszystkie życzenia.

Znów się dziewica wpatrzyła w śrebrne Dniestru nurty, po których jak po krysztale, księżyca przesuwały się promienie, i odbite w ich łonie, czarujące na zamek rzucały blaski.

A od drugiego brzegu cicha rzeki rozsuwa się fala, pluskanie wiosła roztrąca nocną ciszę, i po chwiejącém się łonie rzeki, jakby ptaszę w powietrzu, kołyszę się łódka.

— Dalej — dalej płyń swobodnie moja łódko,— poszepnął Michał, syn kołodzieja,— tam płyń moja łódko, gdzie mi kwitnie miłość, gdzie nas szczęście woła!...

I silnie uderzył wiosłem po głębinie, łódka jak ryba pruła Dniestru fale; — nagle wir plusnął, — już łodziarz u brzegu.

Wyskoczył młodzieniec i dużém czarném okiem powiódł wkoło siebie; — wtedyto z pod długiego włosa zabłysło księżycowém światłem nadobne lice męzkie i pełne szlachetności.

Podszedł pod ganek, stanął — i klasnął.

— Toś ty Michale? odezwał się głos dziewiczy.

— Tak jest Maryjo! to twój Michał cię wzywa.

I znowu cicho; — stare tylko mury głuchym zaszumiały szelestem, i znowu oniemiały, jak sklepienie grobowe.

— Czemuż tak późno przybywasz Michale? rzekła dziewica, opierając się na jego ramieniu, — ja tak ciężko przetęskniłam te samotne chwile!

— Kochanko moja! jeźli zażądasz, mojém życiem ci je wynagrodzę!...

— Oj! nie wynagrodzisz Michale,— bo nie ty wlałeś gorycz w słabe serce dziewicy; — inny tam zakradł się robak, i toczy je jak drzewo pruchniejące.

— Maryjo! co znaczą twe słowa? zawołał pomieszany młodzieniec.

— Odejdźmy dalej, rzekła z wzruszeniem dziewica, — opowiém ci wszystko.

I nadbrzeżny piasek zaskrzypiał pod lekkiemi stopy, a Maryja tak mówić zaczęła:

— Boleśny to cios Michale! — lecz nie poddawaj mu się, nastaw mu mężne czoło. Tak, prawda, kochanku, rzekła pieszczotliwie, ty go zniesiesz cierpliwie, kiedy Maryja nie wyrzeka na niego?

— Maryjo! słowa twoje jak sępy utkwiły szpony w serce moje! — Ale jakto? ty płaczesz? — zkąd te łzy i ta trwoga? — kochanko! czyż potrzeba łez do szczęśia miłości?...

— Do szczęścia? powiadasz; a jeźli nad tém szczęściem zawiesiła się gromem brzemienna chmura, i lada chwila grozi jéj zniszczeniem, — jeźli to szczęście już po raz ostat......

— O! przez miłość Boga dziewico, nie kończ téj strasznéj proroczni!— to nigdy nastąpić nie może, tego nieba nie dopuszczą!

— A przecież dopuściły, rzekła ponuro dziewica, — ojciec moję rękę już oddał Alfredowi!

— O nieba! zmysły mi się mieszają, uczucia się burzą, a serce pęka od żalu!

I zakrył twarz rękoma i płakał jak dziecię. A Maryja stała blada jak posąg grobowy, — zdało się, że cierpienia na chwilę ucichły, aby tém silniej póżniéj uderzyć w serce, i tém gorętszémi z oka wysączyć się łzami.

— Dał twoją rękę! zawołał po chwili oburzony młodzieniec, — czyliż ojciec ma prawo nakazywać uczuciom dziecięcia? Serce ojca, nie jest sercem córki, a stare uczucia jego czyż mogą zastąpić twoje? Nie Maryjo! — taki rozkaz nieważny, ty go nie wypełnisz!...

Michale! za nieposłuszeństwo, nieba srogo karzą!— Daremne oburzenia i wyrzekania; jedyną pociechą naszą niech będzie nadzieja w Bogu. A teraz kochanku!, zapomnijmy o tém, dodała niby wesoło,— choć burza się zbliża, słońce świeci jeszcze, świeci promieńmi pierwszego szczęścia, wspomnieniem wesołéj przeszłości! Pójdźmy dalej jeszcze, tam pod naszą lipę. Tam jak dawniej mów mi o twojej miłości, o twoich poświęceniach, o ludziach i krajach które zwidzałeś; mów jak zawsze mawiałeś, ja będę słuchać spokojnie, nawet łzą ci nie przeszkodzę. O! pójdź, pójdź Michale! bo twoje milczenie straszniejsze niż samo nieszczęście, groźniejsze, niż ten piorun, co wisi nad nami!...

I pociągnęła młodzieńca stojącego nieruchomie ze źrenicą w ziemię wzbitą, zawiesiła się dłońmi na jego ramieniu, podeszła z nim ku lipie, — usiedli, — i ciche szeptanie jakby wieczorna pustelnika modlitwa, zaszeleściało po młodym liściu lipowym.

* * *

Ale kogoż tam dla Boga
W samą północ zły duch goni?!....

— Ktożto się ośmiela przerywać mi chwile nocnego wypoczynku? — kto się poważył o tak póżnéj dobie wchodzić do komnaty pana tych murów? krzyczał na łożu rozmarzony starosta. — Odpowiedz zuchwalcze! ktoś ty i czego tu żądasz?

— Łaskawy panie! odezwał się u drzwi głosem drżącym siwy staruszek, — to ja panie! — Marcin, wierny twój sługa.

— A cóżto Marcin zapomniał, kiedy czas wchodzić do pana? zawołał z gniewem starosta, aż ściany komnaty ponurym zawtórowały echem.

*

— Kochany panie! — wybacz przewinieniu starego sługi, ja nie z własnéj je popełniłem chęci, ale dla tego, że oddałbym resztę życia za szczęście mojego pana, i za dobrą sławę rodziny jego!...

— Jakto! rzekł oburzony starosta podnosząc się na łożu, — czyż moja sława potrzebuje twojéj obrony? Starcze! czy starość twoja rozminęła się już z rozumem?...

— O! gniewaj się panie, jak wola, — łaj i poniewieraj wiernego sługę: ja ztąd nieustąpię dopóki u nóg twoich nie złożę cały ciężar tłoczący moje serce, dopóki niewypowiém tego, na co stare oczy moje patrzéć musiały z boleścią w duszy i z łzą ciekącą po zsiwiałéj brodzie!...

I stary zbliżył się do łoża, objął kolana starosty, i ucałował jego dłonie.

— Marcinie! uspokój się, — rzekł rozczulony starosta; — wiém żeś poczciwy, mów więc, wysłucham cię chętnie.

— Oto panie! — zaczął starzec przerywanym głosem, — serce mi trętwieje na samo wspomnienie, — widziałem teraz, o Boże! jakżeż mi trudno wymówić, — widziałem... pod.. starą.... lipą.... twoję.... córkę.... w objęciach... młodzieńca!....

— Kłamiesz potwarco! krzyknął wściekle starosta porywając się z łoża, kłamiesz najnikczemniéj, ty stara gadzino; — pod płaszczem wierności przyszedłeś zatruwać ostatnie godziny życia mojego. Precz mi z oczu, — precz mi z oczu — i chwięjącą nogą odrtącił klęczącego sługę.

Nastąpiło milczenie.

Wzrok starosty szalonym błysnął gniewem, a pomarszczone lica niby bieżąc w zawody ze szronem siwizny, pobielały jak chusta.

— Moja córka w objęciach młodzieńca? — nie! — to niepodobna — ona mię tak kocha a miałażby? — Nie... nie... nie.. przepadnij straszna myśli, nie dręcz mię daremnie!... zagadał sam do siebie i spojrzał na Marcina. A odepchnięty starzec zakrył twarz rękoma, i szlochał jak dziecię skarcone od ojca.

Starosta postąpił ku niemu, i biorąc go za ramię:

— Okrutny! zawołał, jakiżto szatan natchnął cię tak szkaradną myślą?!

— Bóg widzi moje szczére słowa, odrzekł sługa, — a pan mój sam się o tém przekonać może, — lipa ztąd niedaleko!...

— Sam się mogę przekonać, mówiłeś? tak — dobrze słyszałem. A więc prowadź mię, prowadź! — zawołał z rozpaczą poczynając wierzyć słowom Marcina. — Prowadź mię! niech w same lice zajrzę mojemu nieszczęściu i najpierwéj włożę rękę w pożar cierpienia. Prowadź mię! — a ty Boże! czuwaj nad siwą głową.

I poszli dwaj starcy, a wnętrze sklepienia ponurym zastękało odgłosem.

* * *

W najpiękniejszéj życia chwili
Smutne przemknie się przeczucie,
I serce trwogą zakwili,
Jakby wieszcz w grobowéj nucie!...

— O — gdybyś ty wiedział Michale, jak dziwne to biédne serce ścinają przeczucia!... Chcę być szczęśliwą, bom przy tobie, czytam z twéj duszy najmilszych mych marzeń spełnienia, — a przecież tęsknię, przecież coś mąci moję wesołość, jak wrzucony kamyk w czyste tło źródełka.

— Maryjo! — alboż ty wierzysz w przeczucia? Cień to tylko próżny, jak mniemane widmo przy blasku księżyca. Nieraz pielgrzym śród lasu wytęża za niém przelękłą źrenicę, lecz zbliżywszy się doń śmieje się sam z siebie, bo złudna postać znika i w »Nic« się zamienia.

— A przecież mój luby! nieraz już sprawdziły się moje przeczucia. Pamiętasz tę noc poprzedzającą zgon twojéj matki? Wtedy Michale! niekłamały one!....

— Lecz teraz niech kłamią Maryjo! — ja chcę żeby kłamały, ja chcę żeby były próżne jak ten wietrzyk, co kwiatki nagina; — wietrzyk przejdzie, a kwiatki spokojnie znów zajaśnieją!...

I zatopił spojrzenie w anielskiém licu dziewicy, uchwycił jéj rękę, i całował z zapałem.

— Wielki Boże! — więc to prawda?!..... krzyknął starosta w uniesieniu rozpaczy, zachwiał się i mdlejąc runął na ziemię.

Jak piorunem, co blizkie rozedrze drzewo, spłoszona trzoda rozpierzchnie się po lesie, tak na głos starosty przerażeni zerwali się kochankowie, i niewiedząc czy się ugiąć czy uciekać przed nawałem nieszczęścia, jak dwie bryły kamienia, stanęli naprzeciw siebie.

Tym czasem na Marcina wołanie w pomoc panu wybiegła drużyna zamkowa, i choć nieszczędzono trudu, dobra przecież upłynęła chwila, nim starosta znowu zmysły odzyskał.

Ledwie odwarł powieki, a już wzrok jak strzałę utkwił w odrętwiałéj parze kochanków; — patrzył na nich długo, jak gyby się chciał wcisnąć do najmniejszéj kryjówki ich duszy, wybadać każdą myśl, co po nieruchomém ich przesuwała się oku, i zajrzéć w ich serca, jak w burzliwéj nocy zaziéra błyskawica w okna opustoszałéj chatki. A gdy odwrócił spojrzenie, strumienie łez spłynęły mu po licach, jak gdyby lodowata cierpień bryła, ztopniała od promieni żalu, i kamienny swój zaród zmieniła w jeden wielki strumień boleści.

Nagle się zerwał, — poskoczył ku nim, — jakby elektryczną iskrą zatrząsł bezwładnemi ich dłońmi, i rozpaczą wzmocnione stawiając kroki, ciągnął ich za sobą.

— Nie — to nie można odwlékać, wołał, hańbę moję widzieli wszyscy domownicy, jutro świat cały powtórzyłby ją echem, a moja siwa głowa stałaby się celem urągań i pośmiewiska ludzi, — nie... nie!... ja tego nie dopuszczę, krzyczał coraz słabszym i przytłumionym głosem, — prędko... prędko... moi... ludzie... zawołajcie... księdza... otwórzcie... kaplicę!...

I szamocząc się z odrętwieniem, które jak pożar coraz szérzéj ogarniało piersi jego, wlókł niemych kochanków za sobą, niemych, jakby w letargu.

Otworzono kaplicę. Starzec resztkami sił swoich jakby ostatniem porwaniem się lwa konającego przyczołgał się do stóp ołtarza, i puściwszy swe brzemię rzucił się na kolana, chwytając konwulsyjnie dłońmi zimne stopnia marmury.

Ponura cisza zaległa kaplicę, niby morze po przeminionéj burzy.

A gdy kapłan zbliżył się do ołtarza, — starosta spokojną już podniósł głowę, wskazał mu dwie klęczące postacie przebudzone z snu letargowego — Połącz ich ślubem wiecznym, przemówił zcicha, i znowu umilkł.

Ukończył się akt ślubny, i znowu głucho w świątyni jak w puszczy, gdy wicher oniemieje na chwilę.

Nowożeńcy zdziwioném wokoło powiedli okiem, niepewni, czy się cieszyć, czy płakać nad sobą, — czy powstać, czy nieruchomie pozostać na miejscu, — czy się zbliżyć do ojca, czy uciekać przed nim jak przed aniołem mścicielem! Lecz nagle jakby jedną uderzeni myślą powstali, i uklęknąwszy przed ojcem ujęli go za dłonie, wołając z płaczem:

— Ojcze! ojcze! pobłogosław nas!

A starosta wyrwał swoje ręce, odtrącił ich od siebie, i dziko, jakby całą duszę chciał przelać w słowa swoje, zakrzyczał przed nimi:

— Ja was mam błogosławić?.... ja was.... przeklinam!!!....

Słaba już życia struna niewytrzymała tak silnego wyprężenia, — pękła razem z tém okropném słowem, a omdlała Maryja przyszedłszy po chwili do zmysłów, ujrzała u nóg swoich ojcowskiego trupa, a obok siebie nikogo, prócz męża i staréj piastunki— Nastki; bo za przykładem Marcina wszyscy opuścili zamek, nie chcąc służyć wyklętéj córce.

III.

Bijące w Polskę pioruny,
Niewygasły jeszcze w niebie!
A. H. Fredro.

Łzawo ciągnęły się dnie biednych mieszkańców zamku od téj okropnéj chwili, w któréj tak bolesny cios utkwił w ich sercach, i tak złowieszcza przyszłego życia rozściełiła im się droga.

Tymczasem biedną ojczyznę srogie zaczęły nawidzać klęski. Rok 1655 byłto jeden z najokropniejszych dla Polski. Zapamiętały Chmielnicki poświęcając dobro ojczyzny osobistym widokom zawiązał sojusz z Moskwą i pustoszył Litwę, a z drugiéj strony Karol Gustaw poduszczany i wspierany ręką niewdzięcznego syna ojczyzny — Radziejowskiego, wkroczył w Wielkopolskę, i na opuszczonéj ziemi zasiewał ziarno zgubnéj niezgody. Opuszczona ziemia mówię, bo opuszczona nawet przez tego, który najpierwszy powinien był stanąć w jéj obronie, — opuszczona przez króla! Dobry lecz słaby Jan Kazimierz dozwoliwszy na wyzucie się z wszelkiéj władzy królewskiéj, uszedł do Śląska. Biedny kraj, któremu tak gorzkie zaczną bić godziny!!...

A Michał czyż mógł gnuśnieć daremnie u boku swéj żony, kiedy nad Polską czarne wisiały obłoki? Nie!... On nie zapomniał o powinności dziecięcia, oderwał się od pieszczot zatrzymującéj go żony, zawiesił starą szablę, co zapamiętała pola Chocimskie i Chodkiewicza sławę, dosiadł rumaka, i poleciał, zostawiając za sobą tylko tumany wzburzonego pyłu i łzy na Maryi źrenicy.

Poleciał, i gdyby nawet najokropniejszém proroctwem szatan zakrzyczał mu nad uchem, nie wróciłby nazad, bo serce zawrzało mu miłością ojczyzny, i poświęcenia dzwonem nuciło mu piosnkę pochodu!....

* * *

Gdy noc zazdrośnym palcem ścierając dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu dla zbrodni i zdrady.
A. Malczewski.

Maryi ciężko płynie czas samotny, — dziwne wiją się myśli, jakby mrowie po gnieździe, a każda chwilka grubszą tęsknoty zasłoną powleka udręczone serce. Przekleństwo ojca ciążące jak ziemia mogilna na jéj skroni, nie dopuszczało do piersi najmniejszego promyka wesołości; — a gdy na chwilę wyschły łzy na zbolałéj jagodzie, tém większym smutkiem zabiło jéj serce, jak źródło z jednéj przytłumione strony, z drugiéj tém silniéj wytryska.

Największą pociechą dla niéj — była modlitwa u trumny ojca. Po niéj to jakby po rozmowie z pocieszającym aniołów głosem, spokój jaśniał na jéj twarzy, a zmarszczki, które smutek pozaszczepiał na czole, rozsuwały się jak nocne cienie przed słońca promieniem.

Miało się ku wieczorowi. Słońce zawięsiwszy się na krawędziu widnokręgu, w płomienistą szatę oblekało ziemię, i całéj przyrodzie nadawało jakiś urok wspaniały, majestatyczny.

Maryja klęczała w grobowcu i modliła się. O kilka kroków od niéj stała stara Nastka patrząc na swoję wychowankę — na swoje dziecię; tak dziecię, bo od zgonu prawdziwéj matki ona zastępowała jéj miejsce, — kochała Maryję uczuciem matczyném, i dla tego nieopuszczała jéj nigdy.

Prócz modlitwy szeptanéj ustami niewiasty, prócz westchnienia wydobytego czasami z piersi niewiasty, cicho było w grobowym przybytku.

Wtém nagle zatętniało na dworze i coraz mocniejsze stępanie rumaków odbiło się po murach grobowca.

Niewiasty wpół radośnie, wpół bojaźliwie spojrzały na siebie. Może to on, — pomyślała Maryja; tak — to on! — szepnęła ucieszona, — to on! — to on!

Lecz zaczém miała czas na inne poskoczyć myśli, już mury zamkowe pod spieszną zahuczały stopą, a w drzwiach grobowca ukazała się postać młodzieńca; — był to.... Alfred.

Zoczywszy Maryję, klęczącą przy trumnie, gdy ze spokojném i bynajmniéj niezatrwożoném licem spojrzała na niego, zatrzymał się nagle jakby tajemniczą przykuty siłą, i zawstydzoną odwrócił źrenicę; — tak trudno podłości patrzeć w oblicze cnoty! Lecz niebawem dzika radość usiadła mu na ustach, pierś się wydęła jakąś szaloną rozparta żądzą, a rudy włos jéżył się jakby niespodzianem naprężony szczęściem.

Maryjo! — przyszedłem po twoję rękę, — rzekł szyderczo, — przyrzeczenie twego ojca dziś spełnić przychodzę.

I postąpił ku niewieście.

A Maryja, tak niespodzianym przerażona widokiem dziwnie patrzyła na niego, dziwnie, bo tylko ciałem, dusza bowiem cała skupiła się w myśli. Lecz po przemówieniu Alfreda jak gdyby nazad pozajmowała dawne swoje miejsca, spojrzała na niego z pogardą i dumą niewieścią.

— Podły! czyż nie wiész o tém, żem przysięgła innemu?... i odwróciła się.

— Próżne wymówki! — tyś pierwéj do mnie należała; — przychodzę teraz, jak po moję własność.

— Okrutny! cóż zamyślasz uczynić?... zawołała trwożliwie niewiasta, przedstawując sobie coraz jaśniéj okropne położenie swoje. — Czego żądasz od bezbronnéj niewiasty?...

— Przyszedłem ją porwać i zaślubić! rzekł ponurym głosem.

— O Boże! — krzyknęła z płaczem Maryja. — Nastko! matko moja, ratuj mię! ratuj!... i tuliła się do jéj ramienia, jak spłoszone pisklę pod skrzydła matczyne.

Nastka chciała coś przemówić.

— Czas upływa — krzyknął Alfred, — nie mam chwili do stracenia. Albo pójdź dobrowolnie, albo!....

— Albo mię siłą porwiesz?! O nie! wołała z rozpaczą, — ty tego nie uczynisz, nie śmiész uczynić! Święty duch rodziców moich czuwa tu nademną, niedopuści takiéj sromoty, zniszczy twe szkaradne zamiary!...

— Nie lękam się duchów Maryjo! — i nie wyjdę ztąd bez tego, po co przyszedłem.

— Alfredzie! — zawołała z płaczem rzucając się przed nim na kolana, — ponieważ nic cię wstrzymać nie może, więc Maryja klęcząc błaga cię ze łzami, błaga cię ta Maryja, którą niegdy kochałeś.....

— Kochałem?! — krzyknął Alfred, — tak prawda kochałem, — dodał zcicha, — lecz teraz mszczę się tylko! Cha! cha! cha! nieprawdaż, że to piękna miłość?...

I nie czekając odpowiedzi porwał na ręce wpół martwą niewiastę i zniknął szybko w zakrętach ciemnego korytarza.

A stara Nastka rozpaczając, spiesznym za nimi bieżała krokiem i krzyczała, — krzyczała tylko, bo dziecięcia swego bronić nie mogła.

Wysoko już księżyc toczył się po niebie, bo pionowo cień już rzucały przedmioty, — a jeździec na czele służalców zgrai z omdlałą niewiastą leciał i leciał bez wytchnienia. Dziko szumiały bory północnym kołysane wiatrem, — przeraźliwe sów krzyki złowieszczo odbijały się w uszach, a jeździec leciał i leciał bez przestanku. Już i kur zapiał w poblizkiem siole, i krówka zaryczała w poblizkiéj oborze, — a jeździec pędził i pędził jak widmo grobowe.

Ale cóż to tam czernieje na wzgórzu świtania olśnione blaskiem? — co to za mury tak olbrzymio piętrzą się ku niebu?.... To zamek Alfreda. Sen nieuleciał jeszcze z powieki jego mieszkańców, uciekającej nocy zasłona kołysze się jeszcze nad zczerniałym gmachem, bo cicho i głucho w około. Ciemno we wszystkich oknach, — w jednem tylko słabe miga światełko jakby z podziemia: — to dogorywający płomyk lampy kościelnéj, a okno, przez które się wykrada, — to okno kaplicy zamkowéj.

Pod kopytami rumaków zatętniało twarde posłanie dziedzińca, — jeździec zatrzymał się u wnijścia kaplicy, zeskoczył i porywając swą zdobycz w silnych ramion objęcie, jak szalony przeleciał progi świątnicy.

A przed ołtarzem jakby zamówiony, czekał kapłan z założonemi rękoma. Zaciśnięte usta zdradzały gniew i niecierpliwość długiego oczekiwania, a w każdym rysie zachmurzonéj twarzy przebijała się dusza podła i czarna, jak u tego, co na drzewcu sumienia nie jedną ma już wykarbowaną zbrodnię. I to miał być kapłan boży, wzór cnoty i pobożności, z łagodnością w sercu i spojrzeniu?... Nie — to nie kapłan boży; to podły tylko służalec podlejszego jeszcze pana w księże obleczony szaty, pomocnik jego szkaradnéj zemsty, i skryty doradzca zbrodniczych zamiarów.

Przedtym to kapłanem ukląkł Alfred przytrzymując obok siebie chwiejącą się żonę Michała.

— O Boże! — wyjękła z boleścią niewiasta, — co się dzieje ze mną?.....

— Uspokój się kobiéto! — rzekł kapłan z udaną łagodnością, nic ci się złego nie stanie, wszak Bóg tu czuwa nad nami; — przy tych słowach wzdrygnął się mimowolnie. — Na chwilę tylko uspokój się kobieto, dopóki nie skończę świętego małżeństwa obrządku!....

— Ojcze jam już innemu zaprzysięgła wiarę!...

— Tamta przysięga nieważna, moje dziecię, bo się sprzeciwia prawom kościoła bożego.

— Co Bóg zawiązał, tego ludzie rozwiązać nie mogą, rzekła nieco spokojnie.

— Nad niegodnym związkiem Bóg czuwać nie może. Niewiasto! — rzekł głosem uroczystym, — ja cię uwalniam od dawnéj przysięgi, — a teraz podajcie mi dłonie.

Nie mogła się oprzéć Maryja, bo przygniecione boleścią ciało, wycięczało na siłach, a członki obwisły bez ruchu jak zwiędniałe liście na podciętém drzewie.

Alfred porwał jéj rękę i podał kapłanowi. Nie wiedziała Maryja, kiedy się skończył świętokradzki obrządek, — nie wiedziała kiedy ją wyprowadzono z kaplicy, bo choć serce biło w piersi, przecież życie płynęło jak strumień podziemny zostawiając nieruchomą nad sobą skorupę.

Lecz gdy Alfred pociągnąwszy ją za rękę wymówił nad nią:

— Żono! oto witam cię w mojéj komnacie! — odwarły się nagle powieki, dusza zajrzała na chwilę, ale znów się skryła.

Zaniesiono ją do łoża. A Alfred lata jak wściekły po zamku, — każe wołać lekarza, obiecuje skarby za jéj wyleczenie, — wszystko obiecuje, byle tylko żyła Maryja. —

— Ratujcie ją!, krzyczy, ratujcie! — mnie potrzeba jéj życia jak zbawienia, bo jeszcze jednéj kropli nie staje w zemsty kielichu!....

Lecz jakąż to staruszkę wlecze do zamku służalców zgraja, że aż radość w ich twarzach a pośpiech w ich ruchu?

Stara ta niewiasta zna się na ziołach, nie jednę już istotę z objęcia śmierci wyrwała, więc i teraz się podjęła wyprowadzić nową panię z tak niebezpiecznéj słabości.

— Puśćcie mię do niéj, puśćcie! — wołała staruszka z pękiem ziół pod pachą — niech ją tylko ujrzę, a wnet ją wyleczę!...

I zbliżyła się do łoża Maryi, spojrzała na nią, — zadumała, westchnęła; — ale nikt nie dostrzegł łzy, co po staréj spłynęła jagodzie.

— Oto jest ziele, rzekła po chwili do stojącego obok sługi, zagotujcie je i przynieście.

W mgnieniu oka prawie stało się zadość żądaniu lekarki, przyniesiono ziółka, a stara podając je choréj, nachyliła się do niej i cichym przemówiła głosem:

— Wypij moja duszko te ziołka, a zaraz będzie ci lepiéj.

Jakby znajomą usłyszawszy mowę, chora czule nań spojrzała, chciała coś przemówić, lecz język już niechciał jéj posłużyć. Przyciągnęła do ust dłoń staruszki z ziółkami, i za kilką zawodami wypiła podane lekarstwo. Potém przymknęła oczy, zdawało się, że zasypia.

Oczekiwanie stłumiało oddech w piersiach obecnych. Alfred stał jak na mękach i oka z choréj nie spuszczał.

Nagle zaruszała się Maryja jakby konwulsyjném wstrząśnieniem, — usta zadrgały, a z piersi ciężkie, jakby ostatnie wyleciało westchnienie.

I w saméj rzeczy byłoto ostatnie; — Maryja skonała.

— Boże! — zawołała padając na kolana stara Nastka, — spełniłam powinność piastunki, a ty sądź mój uczynek podług sprawiedliwości twojéj!.. A teraz ty podły panku! — rzekła obracając się do Alfreda, — wyściel jéj łoże małżeńskie w środku komnaty na czarném przykryciu i przy świetle gromnicy!....

— Stara poczwaro! wrzasnął dziko Alfred, — więc tyś ją otruła?...

— Tak jest — otrułam.

— Przeklęta zabójczyni! — ja cię na sztuki porozrywać każę!...

— Zabójczyni? spytała dumnie staruszka. Ja zabójczyni, żem w jednéj chwili zabiła to biédne ciało, aby je uwolnić od hańby i sromoty: — a jakież mnię przypadnie temu, co przez tyle strasznych chwil dręczył je nieustannie coraz nowszą katuszą?... Nie ja popełniłam zbrodnię, lecz ty nikczemny!...

— Jeszcze kąsasz żmijo stara? Precz z nią, precz na zawsze z moich oczu!...

Posłuszna służba rzuciła się na staruszkę.

— Wstrzymajcie się!—ja sama pójdę za wami. Nie lękam się śmierci, bo służyłam cnocie, lecz i tobie nie żyć już spokojnie na świecie, podły rabusiu! — niespełniona żądza spali ci serce, a robak stoczy twoje sumienie!

I poszła za odgrażającą zgrają do ciemnego lochu. Co z nią tam zrobili niewiadomo, to tylko pewna, że z nadchodzącym porankiem dwa były trupy w zamku Alfreda.

IV.

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie!

A. Mickiewicz.

Niewiele los kraju polepszył zapał i męztwo rodaków. Sam naród w niezgodzie a nieprzyjaciel tak liczny, najszczérsze niweczyły chęci, i najzbawienniejsze udaremniały przedsięwzięcia. Zapewne chciały tego niebios wyroki! Srogie to były klęski dla Polski, a choć lata po nich przeleciały, przecież wielka i niczém dotąd niezatarta pozostała po nich blizna.

Nie mógł dłużéj patrzéć na to Michał, serce go zabolało, zatęsknił za domem. Smutny i ze zwieszoną głową powracał przez rodzinne pola, niedawno tak żyzne, dziś puste i wrogów otoczone zastępami; — jechał a myślą gonił za niedolą kraju, dumał i płakał nad nim. Biedny młodzieńcze, czemuż jeszcze jedno czeka cie nieszczęście!...

Coraz ziemia mu znajomsza, coraz więcéj droższe dla niego strony, powietrze swojskie i rzéki rodzinne, a przecież ciągle tęskna jego dusza! Jechał a niewiedział że jedzie; patrzył, a niewiedział że patrzy.

Nagle koń zarżał i raźniéj poskoczył. Michał się ocknął, spojrzał, a przed nim rodzinne sioło. Tam w dali chatka jego ojczysta, i stare drzewa, i stare pagórki, wszystko to samo, tylko więcej zniszczone, więcéj nachylone wiekiem. Wspomniał sobie szczęśliwą młodość i łzę jéj poświęcił.

A tam za Dniestrem czerni je zamek, — zamek w którym żona łzawém go oczekuje okiem, zamek, gdzie go tyle czeka szczęścia, tyle rozkoszy: — niestety! tyle rozpaczy!... Spiął konia i cwałem się puścił. Już przepłynął rzékę, już stanął przed bramą zamkową, już u celu podróży,— i czemuż tak ciężko zeskoczyć mu z konia?

Głucho w starym zamku, brama stoi otworem, na dziedzińcu prochem zasypane ślady ludzkiéj nogi, a po długich korytarzach wiatr przelatuje swobodnie, jak gdyby tylko sam był samowładnym panem tych starych murów.

Dziwne mu w sercu uderzyły uczucia, dziwne myśli biją mu o skronie. Chce wejść, i waha się — idzie, i znowu się wraca, jak gdyby przenosił srogą niepewność nad prawdziwe rzeczywistości poznanie. Nareszcie puścił się trwożliwym krokiem, — wszedł do pokoju Maryi, — zadrżał, a przez okno spłoszony łoskotem puszczyk wyleciał.

O! na ten raz nieszczęśliwy, nie kłamały twoje przeczucia. Patrz, pusto w około, niema twego szczęścia, twojéj rozkoszy, niema oczekującéj cię we łzach żony, — wszystko zniknęło, jak widzenie senne!...

I serce mu zakipiało bolem, i dusza mu zawrzała gniewem, — porwał się i poleciał. Lecz w którąż puścić się stronę, kędy pogonić za straconym rajem? Oto tu widać jakieś ślady końskich kopyt, ślady podejrzane, tędy więc się puścił, i jak wiatr poleciał, lecz nie wiedząc dokąd i za czém.

* * *

Na zamku Alfreda dzwonek konającym odzywa się głosem, — smutne kapłana pienia z wiatrami rozlatują się ponad siołem, lud w dwa rzędy powolnym sunie się krokiem, a w pośrodku niego widać dwie duże trumny, na marach niesione.

Już cmentarz niedaleko, już orszak pogrzebowy wstępuje w bramę mieszkania śmierci: — ale jakiżto jeździec pędzi jak szalony przez wzgórza i doły, łąki i parowy, — pędzi i jeszcze mu za pomału koń lecieć się zdaje, bo go ciągle spina, i głosem i dłonią do biegu zachęca?....

To Michał; — w sam czas przybywa oddać żonie ostatnią posługę!....

Przyleciał przed cmentarz, spojrzał na trumny, i mimowolnym ogarniony dreszczem, zatrzymał się w biegu. Poskoczył za orszakiem, zapytał o imiona umarłych, — zadrżał i osłupiał raz m.

— Maryja i Nastka! — czy dobrze słyszałem? O ludzie! miéjcie litość nademną!— zawołał błagającym głosem. Wy mię zwodzicie, chcecie mię straszyć, bo pewnie wiécie, kto jestem i czego szukam, — wszak prawda dobrzy ludzie?... Ale nieme!... zawołał okropnie, — puśćcie mię, puśćcie! — niech własnem przekonam się okiem, własną zapewnię się duszą!....

I rzucił się na trumnę. Za silnem pociągnieniem wieko odskoczyło, Michał się nachylił, spojrzał.

— Ojcze w niebiesiech! — to piastunka méj żony!... załamał ręce, i z rozpaczą w czoło niemi uderzył.

O! nie — nie — nie chcę widzieć drugiéj, nie chcę. Idźcie daléj, idźcie czem prędzej, — i płacz rzewny stłumił mu mowę. Albo czekajcie! dodał spokojnie nieco po chwili, popatrzę na nią raz jeszcze, popatrzę raz ostatni, i nie zatrzymam was więcéj.

Odbito trumnę: Michał rzucił się boleśnie na zimne żony zwłoki, płakał i całował martwe usta, jak gdyby chciał wyssać z nich należną mu połowę cierpień; potem podniósł głowę, spojrzał raz jeszcze na trupa, — odwrócił się i dłońmi lica zasłonił.

Już pospuszczano trumny do dołów, — już na wiejskim cmentarzu dwie świéże wzniosły się mogiły, — a Michał jeszcze ciche łzy wylewał.

Lecz gdy powstał po chwili, rzewny spokój jaśniał mu na licu, bo ogrom cierpienia ciążąc na sercu, przytłumiał każde silne uczuć uniesienie, jak u biednego więźnia ciężkie kajdan brzemię przytłumia ruchy szybsze i swobodniejsze.

Spojrzał na zamek Alfreda — pojął wszystko, dosiadł rumaka, i wolnym ruszył krokiem.

A Alfred jakby widmami zbrodni dręczony uciekał sam przed sobą, i w najciaśniejsze chował się kryjówki. Takto długo gniecione sumienie, gdy się obudzi z ciężkiego uśpienia, dręczy na raz za wszystkie przestępstwa, za wszystkie podłości! Drżał za każdém posłyszaném stąpaniem, a na głos każdy trząsł się jak w febrze.

Ale czyjeż to kroki tak powolne po korytarzu wysbijają tętno, jak przy pochodzie zbrodniarza na rusztowanie?... To Michał idzie do cierpień nikczemni-

ka jeszcze jednę dorzucić szczyptę, i do katuszy jego, jeszcze cząstkę własnej przyłączyć katuszy.

Stanął w progu. Alfred zoczywszy go tulił się trwożliwie do ściany, i jakby w ogień zajrzał, odwrócił źrenicę. Taż zbrodnia, coby się tysiącznym szatanom zastępom niewahała nikczemne stawić czoło, truchleje na widok cnotliwego oblicza, jak dziecię przed rózgą ojca.

— Nie lękaj się daremnie!— przemówił Michał grobowym głosem, — nie przychodzę cię zabijać, bo śmierć dla ciebie byłaby łaską. Dla ciebie karą jest życie, ja ci go więc nie odbiorę...

— Mój panie! — wołał bojaźliwie Alfred, jam nic nie winien, ja nie zabiłem jéj, to jakaś stara czarownica;—jam nic nie winien, Bóg świadkiem panie! jam nic nie winien!....

— Słaby człowieku! czy sądzisz, że tak łatwo jak ludzi i Boga okłamiesz? O nie! daremne nadzieje,— niebios sędziego nigdy nie okłamiesz!.:..

— Ja nic kłamię mój panie! — to szczéra prawda, szczéra — wierzaj mi,— jam nie winien!...

I chwiejące się przygiął kolana, i złożył ręce jak do modlitwy.

— Podły! własne twoje słowa już cię oskarzają i karzą same. Lecz to zamało jeszcze dla ciebie, zamało za tyle strzał, któreś wpuścił w to biedne serce, zamało za tyle trucizny, którąś mi w życie zapuścił. Ukarzę cię jeszcze więcej, jeszcze haniebniej jak źwiérzę, jak psa! Oto patrz samolubny panku,— rzekł postępując ku niemu,— moją prostą stopą staję ci na karku i gniotę cię jak robaka, tak jak ty zgniotłeś moje nadzieje,— gniotę cię jak padalca, tak jak ty zgniotłeś moję przyszłość,— gniotę cię, jak archanioł gniótł żmiję piekielną!... Teraz dość już dla ciebie,— dodał trącając go nogą,— dość dla ciebie,— i dla mnie już dosyć!....

Rzucił jeszcze jeden wzrok pogardy.

— Podlejszego łupu pewnie śmierć nigdy nie dostanie! — powiedział zcicha i odszedł.

Alfred leżał skurczony jak pies pod nogą pana, leżał i nie śmiał się ruszyć:— tak to podłość maże z swego czoła znamię człowieczeństwa!

Lecz dokądże ciebie jeszcze wiedzie droga, nieszczęśliwy mężu?— czy jeszcze gonisz za tém, czego już nigdy nie odszukasz?... Nie — nie za tém gonił Michał. Pojechał tylko raz jeszcze odwidzieć rodzinną swoją chatkę, odwidzieć jeszcze raz pamiątki świętej ziemi narodzenia, i raz jeszcze zapłakać nad niemi.

Wszedł do próżnéj chatki, przejrzał każdy kącik tak drogi niegdyś młodéj duszy, usiadł na spróchniałéj ławie i dumał. Siedział tam długo, siedział aż do północy, aż księżyc wybiegł ponad sioło rodzinne,— czy z duchem rodziców rozmawiał tak długo? Gdy się ocknął, smętną radością błyszczały lica; podbiegł wesoło ku rzece, wskoczył w łódkę stojącą u brzegu, i płynął do zamku, płynął tak, jak niegdyś pływał do swego raju — do Maryi. To naglił wiosłem jak gdyby się spieszył, to znowu ustawał, jak gdyby się obawiał, aby przybywszy zawcześnie, nie musiał w boleśném oczekiwaniu chwil kilka przepędzić samotnie.

Biédny, czy cię już pamięć odstąpiła?— czy może we śnie zerwałeś się po promieniu księżyca? O nie!— z jasną on tam płynął myślą, z jasną, bo do raju, bo wstające nazajutrz słońce, ujrzało tylko kołyszącą się u brzegu łódkę, lecz wioślarza — już w niej nie było.
Fr. Walig......

Wykład systemu świata.

Żydek ciekawy chciał być astronomem,
Ojciec to słysząc wpadł na niego z gromem:
»Co tobie głupcze łazić aż po niebie!
Tu w kilku słowach Ja nauczę ciebie:
Słońce — to dukat, jemu honor wszelki,
On mocno świéci, bo jest magnat wielki;
Miesiąc — to talar, on się w nocy rodzi,
Zawsze jak szlachcic za magnatem chodzi;
Te w mlecznej drodze r zsypane kropki,
Drobne szostaczki pod nazwiskiem chłopki;
Co się gwiazd tyczy — nie wielkie kozery,
To są mieszczanie, same cwancygiery.
Kto cały system do kieszeni wtyka,
Ma większy rozum niż był Kopernika.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 5ty i zawiera: 1) Sprawozdanie z dziewiątego zgromadzenia niemieckich gospodarzy, odbytego w Wrocławiu na dniu 8mym września r. z. (Ciąg dalszy. 2) O przyczynach złego stanu prywatnych lasów. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Sposób przeciw ukąszeniu pszczoły lub osy. 2) Wiadomości handlowe.

Śmiertelność ludności całéj ziemi, wynosi w przeciągu lat trzydziestu, czyli jednego pokolenia, około 946.080.000 zmarłych, i w tymże samym stosunku zostaje także liczba nowo w tymże czasie rodzących się. Zaczém wypada:

na każdą chwilę	1 nieboszyk i 1 nowonarodzony,		
na każdą minutę	60	—	—
na każdą godzinę	3.500	—	—
na każdy dzień	86.400	—	—
na każdy tydzień	604.800	—	—
na każdy miesiąc	2.502.000	—	—
na każdy rok	31.536.000	—	—

Rozpisanie nagrody dla jasnowidzących. Dom handlowy Batt i spółka, w Dublinie, ogłosił w tamecznych dziennikach urzędowych następującą wiadomość: »W odpowiedź na rozliczne pytania względem złożonego u nas banknotu na 00 funtów szterl., jesteśmy spowodowani oświadczyć, iż takowy banknot rzeczywiście u nas złożonym został, a to w okładce z następnym nadpisem: »Ta okładka zawiéra banknot 100 funtowy, który natychmiast ma zostać własnością téj osoby, co bez rozpieczętowania okładki, w obecności pana Ph. Doyne, *esquire*, i sir Ph. Crampton, baroneta, wyczyta wszystkie znamiona tegoż banknotu, to jest bank, ktory go wydał, datum, liczbę, podpisy, tudzież godło, złożone z kilku wyrazów, a zawarte wewnątrz téjże samej okładki. — Podpisano James Dadgeon.»

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.